

Wojciech Stanisławski: Tropem strzępków wełny

Pisał „Sierpień” ktoś, czyj nieopanowany głód historii i kultury ludzkiej miarkowany jest przez niechęć do młyna słów; jest to połączenie niesłychanie rzadkie i szczęśliwe.

System mnemoniczny znany jako „pałac pamięci” opisał jako pierwszy Symonides z Keos, doskonalili go najuczeńsi z jezuitów, Matteo Ricci i Athanasius Kirchner, popkultura dowiedziała się o nim za sprawą, zdaje się, Hannibala Lectera. Sam raz i drugi próbowałem w potrzebie zapamiętać rozproszone fakty i nazwiska metodą mnożenia luźnych skojarzeń i przywiązywania się do nich, choć wątpię, żebym w tym quasi-architektonicznym trudzie, usiłując opanować w trzy wieczory pół tuzina podręczników, posunął się dalej niż do przedśionka jakiegokolwiek pałacu pamięci. Jego podwoje otwarły się przede mną dopiero za sprawą „Sierpnia”.

Narrator tej noweli, czy może raczej warszawskiego itinerarium prowadzi nas po prostu ulicami Warszawy, z mocną przewagą Saskiej Kępy i solidną reprezentacją terenów Getta, rozciągających się po Nowe Miasto – oraz wielowymiarową siatką ulic swojej pamięci, księgozbioru i erudycji. Przy czym, zdemaskuję od razu własną ironię, to „po prostu” ma mniej więcej tyle sensu co fochy filistrów patrzących na obrazy abstrakcjonistów i sarkających, że przecież podobne głowonogi czy maziaje wychodzą spod pędzli ich milusińskich. To żadne „po prostu”,

utkanie tych skojarzeń przypomina strukturę łańcucha DNA albo architekturę mikroprocesora: każdy stworzony zdaniem obraz prowadzi (albo mógłby prowadzić) do kilku kolejnych, stanowiących zarazem echo zdań wypowiedzianych kilka stron wcześniej; to ogród o rozwidlających się ścieżkach, którym jednak skojarzenia biegają chwilami z chyżością flipperowej kulki. Ten system odniesień, na pozór chaotyczny, skoro wszystko można skojarzyć ze wszystkim, jest niezawodny: po drugiej lekturze pamiętam już, jak od upału przeszliśmy na kilku stronach do gruczołów ekrynowych, do gołębia, kelnerki, komiksów epoki PRL, babci Reginy, porcelanowego zegara, zim, Zagłady i wróbla.

Ale przecież Pawłowi Sołtysowi nie idzie o nużącą, mechaniczną biegłość kalejdoskopu czy innej zabawki, mającej za zadanie podrażnić nasz zmysł wzroku, jak puszczony w przyspieszonym tempie film z kamery czołowej rowerzysty czy narciarza, który sprawia, że śmiesznie odchylamy się, siedząc przy laptopie, przed wyimaginowanymi gałęziami. Nie, „Sierpień” to wypominki, to wytrwałe podnoszenie porwanych pasm ofiarniczej wełny. Nie ma już Minotaura, przed którym trzeba umknąć, czy może po prostu minotaurem jest niepamięć. Pasma wełny są porwane, widoki na powrót do przeszłości są niewielkie; ale narrator tej zdumiewającej prozy stawia sobie za cel wędrowanie. Sołtys pisze wprawdzie o swoich ambicjach w tej kwestii z przekąsem („Pamiętam, udzielając kiedyś wywiadu dla telewizji, skleciłem podobną frazę: zajmuję się wchodzeniem do wczoraj i potem, ile się da, pod prąd czasu (...). Wtedy wydawało mi się to bardzo błyskotliwe, dziś (...) uśmiechnąłem się nad swoją naiwnością”), ale nie należy mu wierzyć: nadal wędruje, z pasmem wełny, pod prąd.

Zdumiewające, jak świetnie swoją ciekawość skalibrował: gdyby podawał o jotę więcej szczegółów, stworzyłby prozę suchą, petitową i uczoną; gdyby sięgał po popularniejsze ciekawostki powstałby zbiór „smaczków warszawianistycznych i literackich”, konsumowany następnie przez dekadę przez dziennikarzy i podcasterów, żywiących się cudzymi anegdotami jak trutnie cukrem. Ale nie, te opowieści o Franciszce Kotowiczównie, przełożonej sióstr wizytek u progu XVIII wieku, o Adamie Stalonym-Dobrzańskim, konserwatorze, witrażyście i typografie, czy najpiękniejsza chyba, o świętym Romanie Melodosie, czyli *prepodobnym Romanie Sładkopiewcu*, nigdy nie dłuższe nad stronę lub dwie, mają w sobie urodę miniatury i żadnych przypisów, i są wystarczająco niedopowiedziane, żeby nie przemieliły ich żuchwy erudytów. Pisał je ktoś, czyj nieopanowany głód historii i kultury ludzkiej – porcelanowych nimf, zegarów, starych tramwajów, sposobów wytwarzania papirusu, przekładów Psalmów dokonanych ręką Miłosza i Wujka, dziejów rytowników polskich, walk „Radosława” na Czerniakowie i zamordowania sześciuset Żydów w fosie Fortu XII – miarkowany jest przez niechęć do młyna słów; i jest to połączenie niesłychanie rzadkie i fortunne. I te świece zachwyty, które pojawiają się czasem, kiedy pisze o książkach tak rzadkich, jak „Vczta zbawienna Albo Sposób Gotowania się do Stołu Pańskiego” Alojzego Piotrkowczyka (Kraków, 1717) – uchodzą mu na sucho.

Uchodzi mu na sucho i więcej. Gdybym chciał pisać o „trybach recepcji”, o obiegu czytelniczym, uderzyłoby mnie spostrzeżenie, powracające w kolejnych recenzjach, publikowanych na stronach wydawcy: „Paweł Sołtys (...) nie boi się pewnych gestów literackich, których inni by się przestraszyli” napisał Szymon Kloska w „Nowym Tygodniku Kulturalnym”; „taka właśnie jest ta proza – cała w tonie niedzisiejszego serio” wtóruje mu Katarzyna Sawicka-Mierzyńska w

agorowych „Książkach”. Co zrobiło na nich takie wrażenie, co ich tak zdumiało? „Vczta zbawienna”, opis nabożeństwa w wolskiej cerkwi czy „miękki plusz osiołka, którego ściskałem, jakbym miał wydusić z niego pluszowe serce, by zbawił nas wszystkich i znowu wszystko było dobrze”? Mam nadzieję, że nie, mam też nadzieję, że nie uznali za niezbędną kontrybucję dystansu, który autor ukazuje i zaznacza, bodaj tylko w oszczędnych zdaniach, zaznacza i stopniuje („Spoglądając na współuczestniczących w nabożeństwie i naśladowując ich, obcy. Ale inaczej obcy niż w kościele”). To zresztą wyjątkowo cenny trop: o tym, co najważniejsze, mówić mimochodem, półsłówkiem, półzdaniem („Później wracałem do ciszy po tym”): kto ma zrozumieć, zrozumie.

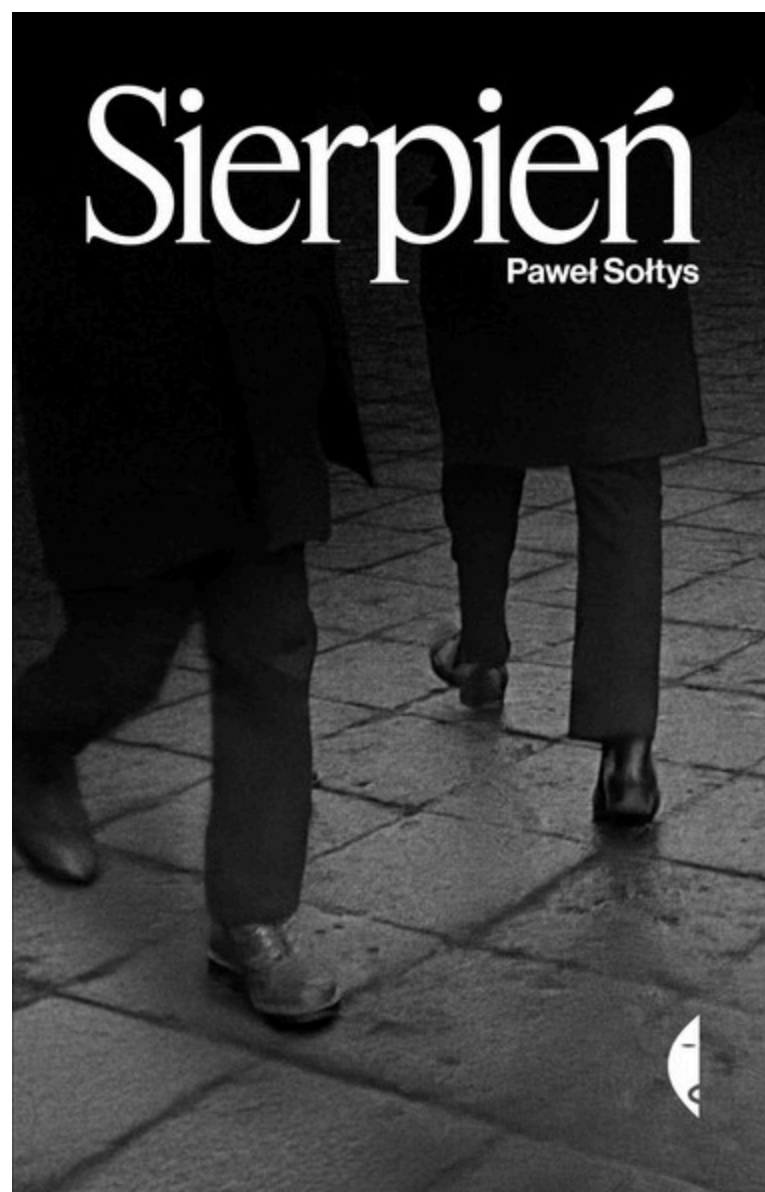
Myślę więc, że zaskoczyła innych recenzentów, jak i mnie, prostota, pewność i powściągliwość tych zdań: „Stanął ogromny upał w mieście, zdawało się – wylany z sycylijskiego obrazka albo wiersza – obcy żar po tych kilku dniach z deszczem”, albo „...wnuk zajmował się układaniem drewnianych klocków drzeworytowych, które były starsze od jego przedsięwzięcia, pochodziły z zakładów Hallera, Unglera, Szarffenbergów, Łazarza i Macieja Wierzbięty (...), wydobywały ze swoich żłobień urodę i poezji, i opisów peregrynacji, i podręczników hippicznych”.

A może i coś jeszcze, może kategoria tak niedzisiejsza i śmieszna jak ton? W powodzi książek samochwalczych i krzykliwych, których autorzy epatują swoją butą, jurnością, a w ostatnich latach najchętniej chyba rozpaczą, „Sierpień” jest przysypany, jak tabaczkowym pyłem, smutkiem. Proza Sołtysa – w nie pierwszym już przecież jego tomie – jest jak mocno skarmelizowany cukier: z nutą (jak powiedzieliby kiperzy) słodczy, teraz jednak szklisty, gorzkawy i tnący język. I chociaż „Utrata”, w znaczeniu rejonu warszawskiego sąsiadującego z

Targówkiem Fabrycznym pojawia się na stronach „Sierpnia” kilkakrotnie, jej obecność w książce nie jest wywołana jedynie topografią.

Odwołań literackich jest oczywiście w „Sierpniu” bez liku, jednych widocznych jak na dłoni (Schulz), innych – dla piątki czytelników, jeszcze innych być może pojawiających się tylko w wyobraźni pojedynczego odbiorcy. Chcę tylko – za Markiem Bieńczykiem – zwrócić uwagę na ostatnie zdania tej książki, brzmiące „Potem pójść dalej. Dalej”. Pewnie nie brzmiałyby one aż tak dobrze, gdyby napisał je kto inny niż Sołtys – dwukrotnie już nominowany do nagrody imienia Norwida.

Wojciech Stanisławski



Paweł Sołtys, „Sierpień”, Wydawnictwo Czarne, 2024

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► Przeczytaj wcześniejsze

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
